Ścieżki nauki, ścieżki historii

Józef Lityński (1928-2013) był geofizykiem, klimatologiem, profesorem Universite du Quebec a Trois-Rivieres, działaczem polonijnym, wieloletnim prezesem Instytutu Naukowego w Kanadzie. Rozmowa odbyła się w Montrealu w 2004 roku.

Józef Lityński w swoim domu w Montrealu, fot. Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Jest pan prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie. Mieszka pan w Montrealu, gdzie mieści się centrala, ale musi pan czuwać nad czterema oddziałami, nie tylko w Montrealu, ale i w Ottawie, Toronto i Vancouver. Instytut działa więc w całej Kanadzie, bo tak na wschodnim, jak i na zachodnim wybrzeżu.

Józef Lityński: Teoretycznie działamy w całej Kanadzie, choć z Vancouver kontakty są utrudnione, ze względu na odległość. Z Ottawą mamy dobry kontakt. Natomiast z Toronto przez wiele lat dobrze nam się współpracowało, no ale ostatnio działalność oddziału osłabła i jesteśmy w trakcie jej uaktywniania. Dwa lata temu byłem też w Halifaxie, z nadzieją na otworzenie tam oddziału Instytutu. Przyjęty zostałem entuzjastycznie, na spotkanie przyszło ok. 40 osób, byłem więc przekonany, że oddział będzie aktywny. No, ale niestety nic z tego nie wyszło. Mimo że Halifax leży na wschodnim wybrzeżu, ale widać to też daleko.

JSG: Na czym w tej chwili polega działalność Instytutu?

JL: Główną naszą działalnością jest prowadzenie Biblioteki Polskiej im. Wandy Stachiewicz w Montrealu. Poza tym, mniej więcej 3-4 razy do roku, organizujemy odczyty na różne tematy. Parę lat temu były to głównie tematy historyczne, a teraz w ramach Koła Naukowego wypowiadają się też biolodzy, lekarze, ja miałem odczyt na temat klimatu itd. W Montrealu mamy wielu polskich biologów. To jest tradycja zapoczątkowana przez jednego z członków-założycieli Instytutu, prof. W. G. Penfielda z Uniwersytetu McGill. Poza tym Instytut bierze udział w wielu akcjach, np. w programie, skierowanym do młodzieży polskiego pochodzenia z Kanady i USA „Polska w Górach Skalistych”. Co roku uczestniczymy w organizowaniu Uniwersytetu Letniego

Kultury Polskiej w Rzymie. Wysyłamy tam zarówno uczestników, jak i wykładowców. Ja też miałem tam kiedyś cykl trzech wykładów historycznych. Mimo, że historia nie jest moją specjalnością zawodową, bardzo się nią interesowałem i interesuję nadal. W Montrealu, miałem cykl wykładów, trwający ok. 2 lata, na temat najnowszej historii Polski. O dziwo, cieszyły się dużą frekwencją, ludzie przychodzili regularnie, a ja na przygotowanie tych odczytów, poświęcałem więcej czasu, niż na przygotowanie wykładów uniwersyteckich. (…)

JSG: Polski Instytut Naukowy w Kanadzie powstał jeszcze podczas wojny z inicjatywy polskich intelektualistów.

JL: PIN powstał w październiku 1943. Początkowo był filią Instytutu amerykańskiego, który został rok wcześniej zorganizowany przez polskich emigrantów przybyłych do Ameryki zaraz po wybuchu wojny. Część z nich przyjeżdżała też do Kanady, niektórzy wykładali na Uniwersytecie McGill, jak np. światowej sławy historyk profesor Oskar Halecki. W Montrealu również mieszkała duża grupa polskich uczonych, artystów, intelektualistów. Profesor Halecki i kilku jego współpracowników doszli więc do wniosku, że warto założyć kanadyjską filię tego instytutu. Dużą rolę w tworzeniu Instytutu odegrał wspomniany już neurolog prof. W. G. Penfield. Uczeni ci w większości byli członkami Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, nawet Kanadyjczyk, prof. Penfield. Dzięki wstawiennictwu tych osób,

Instytut dostał lokal na Uniwersytecie McGill, skromniejszy niż mamy dziś, ale dobry na początek. Dzisiaj mamy do dyspozycji cały dom przy ulicy Peel, czyli w centrum Montrealu, przy uniwersytecie, i co jest bardzo ważne, jest to lokal darmowy.

Biblioteka powstała dzięki inicjatywie pani Wandy Stachiewicz, żony byłego szefa sztabu Armii Polskiej z 1939 roku, Wacława Stachiewicza. Generał Stachiewicz był internowany w Algierii czy w Maroku, i dopiero chyba w 1944 roku został zwolniony i wyjechał do Anglii. Jednak do wojska go nie wzięto, mimo że zaoferował swój udział w walce nawet jako szeregowiec. Pani Stachiewiczowa znalazła się w Kanadzie zaraz na początku wojny, tak jak i wiele innych rodzin, które zostały tu przysłane z Anglii. Jej mąż przyjechał jakiś czas po wojnie. Po przyjeździe czynnie włączył się w prace Instytutu. Biblioteką zaś cały czas zajmowała się pani Wanda, kobieta niespożytej energii. To dzięki niej biblioteka tak się rozwinęła, że dziś jest największą polską biblioteką na tym kontynencie. A my staramy się, żeby tak zostało. (…)

JSG: Odejdźmy na chwilę od Polski, jej historii i kultury.

Osiągnięcia w różnych dziedzinach nauk zdobywane przez Polaków, ich wkład w naukę światową, popularyzują imię Polski. Pana dziedzina, klimatologia, ma stały wpływ na życie wszystkich mieszkańców ziemi. Wykładał pan przez szereg lat na Universite du Quebec a Trois-Rivieres, prowadził pan badania na północy Kanady, na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce. Zapytam więc się pana o zagadnienie z dziedziny, w której jest pan specjalistą. Czy klimat na ziemi się oziębia, czy ociepla?

JL: Z meteorologią, jest jak z medycyną, nie ma nic pewnego, ale jest dużo argumentów, które przemawiają za ochładzaniem się klimatu. Prognozy globalnego ocieplenia powstają tylko na podstawie wyników, które się otrzymuje testując modele. Modelując cyrkulację atmosferyczną i oceaniczną, oblicza się, co będzie za rok, za 10 czy za 100 lat. Lecz jeśli model wykonany jest na podstawie dzisiejszej wiedzy, to użyty do prognozy za 10 lat jest mniej dokładny, a za 100 lat już bardzo niepewny. Tak więc, prognozy, które mówiły, że już powinno nastąpić ocieplenie, nie sprawdzają się, bo ocieplenia nie ma. Po przejściowym ociepleniu z kulminacją w 1998 roku, klimat się wyraźnie ochładza. Tak samo nie znajdują potwierdzenia prognozy, mówiące o tym, że najszybciej klimat będzie się ocieplał w obszarach podbiegunowych, dlatego, że dane dotyczące lodowców, nie są skorelowane z temperaturą. Np. w okresie tzw. małej epoki lodowcowej (od ok. 1550 do 1750 r.n.e.), na podstawie opisów wypraw na wody północne

stwierdzono, że lodów było mniej niż w poprzednich epokach. Dopiero potem ilość lodów się zwiększyła. Tak więc zjawiska lodowe pojawiają się z pewnym opóźnieniem w stosunku do temperatury. Jeśli stwierdzono, że pokrywa lodowa Arktyki jest cieńsza, to nie świadczy to o globalnym ociepleniu, bo ten fakt nic nie mówi, ani o temperaturze, ani o tendencjach. Ja zrobiłem dość dokładne studium temperatury wszystkich kontynentów. Wyraźnie z niego wynika tendencja ujemna, a nie dodatnia. Na Arktyce, temperatura owszem podniosła się w latach 50., ale potem opadła. Na kanadyjskich stacjach arktycznych, przez dwa kolejne lata 1998-99 temperatura nagle wzrosła o 4 stopnie. Wtedy zwolennicy globalnego ocieplenia krzyczeli – tak, już mamy ocieplenie. No, ale w kolejnych dwóch latach temperatura spadła, też o 4 stopnie.

JSG: Jakie mogą być konsekwencje dla życia na ziemi, jeśli klimat się znacznie oziębi?

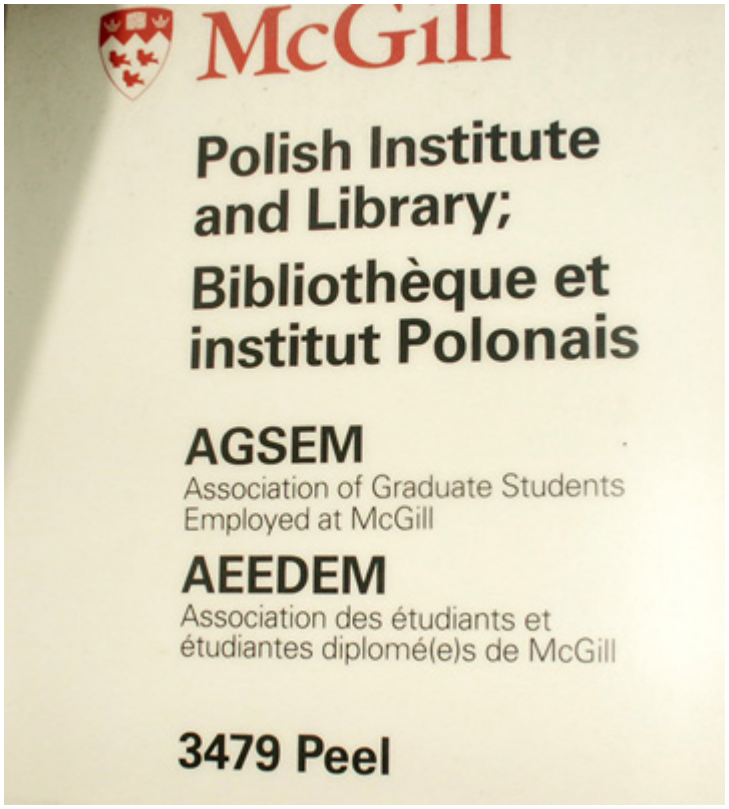

JL: Przed paroma miesiącami opublikowana została tzw. prognoza klimatyczna dla Pentagonu. Amerykanie jej nie ujawniali, ze względu na możliwą panikę. Ale dziennikarze ją odkryli i opublikowali w którymś z angielskich pism. Ta prognoza jest katastroficzna. Według niej w ciągu najbliższych lat ma znacznie spaść temperatura, a w wyniku tego zaczną tworzyć się lodowce. Oczywiście konsekwencje takiej zmiany klimatu byłyby dramatyczne. Ludzie zaczęliby umierać z głodu, bo ziemia, która teraz ma nadprodukcję żywności, nagle nie rodziłaby tyle, ile trzeba. Ja jednak uważam, że kierunek prognozy jest właściwy, natomiast nie sądzę, aby to ochłodzenie nastąpiło tak nagle. Ono może być dość nagłe dla Skandynawii, gdyż tam temperatura jest wyższa o ok. 15 stopni, w stosunku do temperatury na tej samej szerokości geograficznej np. W Kanadzie, ze względu na Golfstrom. Prąd ten niesie nieprawdopodobne ilości energii z obszarów tropikalnych do obszarów północnych. W przypadku, gdyby uległ on zmniejszeniu, Skandynawia by to bardzo odczuła. No i oczywiście odbiłoby się to na całej Europie. Gdyby Golfstrom się

zatrzymał, w Skandynawii temperatura od razu spadnie o 5 stopni, natomiast w pozostałej Europie, o 2-3 stopnie. To wystarczy, aby na Półwyspie Skandynawskim zaczęły tworzyć się lodowce, a w reszcie Europy zima była dużo surowsza i dużo dłuższa.

JSG: Ale mówił pan, że według pana taka prognoza nie nastąpi zbyt szybko.

JL: Uważam, że nie może być tak, że pewnego dnia nagle zrobi się zimno. Chociaż są klimatolodzy, którzy tak twierdzą. Wszystkie zjawiska meteorologiczne i klimatologiczne są fluktuacjami. W naturze prawie wszędzie są ujemne sprzężenia zwrotne. To znaczy, że jeśli jakieś zjawisko wychyla się w jedną stronę, to natychmiast są uruchamiane mechanizmy, które je ściągają z powrotem. Jest tylko kilka zjawisk, w których występują sprzężenia dodatnie, ja je nazywam katastroficznymi, gdyż jeśli się utrzymują, muszą prowadzić do katastrofy. Są to np. reakcje jądrowe. W klimatologii zidentyfikowałem trzy sprzężenia katastroficzne. Jest to temperatura i dwutlenek węgla, temperatura i para wodna oraz temperatura i tzw. albedo – czyli zdolność odbijania promieni słonecznych przy powierzchni ziemi. I tak np. jeśli zwiększy się ilość dwutlenku węgla i temperatura nieznacznie wzrośnie, to produkcja dwutlenku węgla wzrasta. Mogłoby więc dojść do katastrofy. Ale nie dochodzi. To samo jest z parą wodną, czy albedo. Tylko na

pewnym odcinku sprzężenia zwrotne są pozytywne, później się kończą. Zwolennicy globalnego ocieplenia nie chcą uznać, że dwutlenek węgla powoduje ocieplenie tylko do pewnej granicy, a później sprzężenie niknie. Bo gdyby było inaczej, to dawno byśmy mieli katastrofę klimatyczną na ziemi. Widać są jakieś powody, które zatrzymują to zjawisko. W artykule, który właśnie wysłałem do Polski do publikacji, wykazuję, że dwutlenek węgla nie będzie tak się zwiększał, gdyż pochłanianie dwutlenku węgla przez system naturalny, tzn. roślinność i plankton z oceanach, jest proporcjonalne do ilości dwutlenku węgla w atmosferze. Aby więc podwoić ilość dwutlenku węgla (tak jak zwolennicy ocieplenia wykazują na modelach i mówią, że w ciągu 20 lat to nastąpi), musielibyśmy produkować 28 razy więcej dwutlenku węgla.

JSG: Na czym polegały badania, które przeprowadzał pan na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce…

JL: Na Madagaskarze brałem udział w programie Światowej Organizacji Meteorologicznej ochrony przed cyklonami. Spotykane tam depresje tropikalne wyrządzają wielkie szkody. Rocznie pojawia się na tym terenie średnio siedem cyklonów tropikalnych. Najwięcej jest ich na wschodnim wybrzeżu, gdyż z reguły przychodzą znad Oceanu Indyjskiego. Światowa Organizacja Meteorologiczna, na prośbę służby meteorologicznej z Madagaskaru, dała fundusze i wysłała ekspertów, aby

zorganizowali ochronę przeciwko cyklonom. Ja nie jestem specjalistą od cyklonów, pojechałem jako klimatolog. W ramach tego projektu zostały wybudowane trzy stacje radarowe, postawiono japońskie radary, które określały miejsce i siłę cyklonu. Dawało to czas na ostrzeżenie odpowiednich służb. Radary prezentowały się bardzo pięknie i początkowe prace wskazywały na dobre ich funkcjonowanie. No, ale specjaliści japońscy wyjechali, radary zaczęły się psuć i nie było nikogo, kto by potrafił je naprawić. Pracował wówczas z nami świetny amerykański specjalista. Na podstawie zdjęć satelitarnych potrafił powiedzieć, w którym miejscu powstaje cyklon, mimo, że jeszcze go tam nie było. Miejsce na zdjęciu, które wskazywał, było mniejsze niż łepek od szpilki. On nie tylko widział tworzenie się cyklonu, ale potrafił też określić siłę, z jaką cyklon przyjdzie. Tak więc automatyzacja w obserwacjach meteorologicznych jest bardzo dobra, ale musi być połączona z obsługą, która jest do dyspozycji w każdej chwili. Maszyna może pomóc, ale nie wyeliminuje człowieka.

JSG: Mówił pan o Polakach, którzy tworzyli Instytut. A jak pan się znalazł w Kanadzie?

JL: Wyjechałem najpierw do stryja, który mieszkał w Kalifornii. Oficjalnie wyjechałem z Polski na wakacje. Pracowałem wówczas na Politechnice Warszawskiej. Był to okres po wydarzeniach 1968 roku, na uczelniach w Polsce panowała bardzo zła

atmosfera, zaczynały się represje. Pomyślałem więc, że jeśli uda mi się dostać paszport, to wyjadę. Jeżeli Sowieci zajmą Czechosłowację, zostanę za granicą, a jeśli nie, wrócę do Polski. Miałem wówczas 39 lat i nie chciałem się jeszcze jakieś 20 lat borykać, żeby w życiu coś osiągnąć. Wydawało mi się też, że za granicą można więcej zrobić dla Polski. Wtedy ważne było propagowanie na zachodzie idei niepodległej Polski. Natomiast w Polsce można było oczywiście pracować i to było bardzo potrzebne dla kraju, ale działalność polityczna nie była możliwa.

Po kilku miesiącach pobytu u stryja w San Raphael, zacząłem myśleć o wyjeździe do Kanady. Mimo że stryj pięknie mieszkał, ale ja źle się tam czułem, zapewne ze względu na język, bo mój angielski był słaby, natomiast dobrze mówiłem po francusku, gdyż pracowałem wcześniej przez 2 lata w Kongo Belgijskim. Nawiązałem więc kontakt z Uniwersytetami w Quebecu i dostałem zaproszenie na interview z Uniwersytetu Laval w mieście Quebec. Mimo że przyjazd do Kanady nie był taki prosty, gdyż nie chciano mi dać wizy kanadyjskiej, przez znajomych postarałem się o zaproszenie i dostałem wizę turystyczną. W międzyczasie Rosjanie zajęli Czechosłowację, zdecydowałem się więc na pozostanie za granicą. Przyjechałem do Kanady pod koniec listopada. Był to akurat taki rok, w którym zima bardzo wcześnie się zaczęła. W Quebecu leżała już stopa śniegu. – Do ładnego kraju przyjeżdżam – pomyślałem. Ale ja zimę bardzo lubię. Zawsze czekałem, żeby w Polsce były takie

śniegi, jak to opisywano w książkach, z wykopanymi tunelami i przejściami. W Polsce nigdy takiej zimy nie widziałem, więc bardzo mi się spodobało. Wtedy można było stosunkowo łatwo na stałe zostać w Kanadzie. Były to złote czasy dla emigrantów. Szybko dostałem prawo pobytu i pozwolenie na pracę, a w ciągu dwóch tygodni otrzymałem pierwsze kanadyjskie zatrudnienie – *post doctoral* na uniwersytecie Laval, na wydziale geografii. Nie jestem geografem, tylko fizykiem, magisterium zrobiłem z geofizyki, a doktorat z meteorologii i klimatologii. Geografowie mają chyba trochę kompleksów na punkcie fizyków czy matematyków, więc byli szczęśliwi, że jakiś fizyk chce u nich pracować. No, a dla mnie był to nie tylko zaszczyt, ale i możliwość normalnego życia.

Universite du Quebec a Trois-Rivieres.

Otrzymałem kontrakt tylko na dziewięć miesięcy, do końca września. Na cale lato, od końca maja, aż do połowy sierpnia uniwersytet mnie wysłał na daleką północ Kanady, by tam prowadzić prace badawcze. To było wspaniałe, niesamowite przeżycie, tam jest na prawdę pięknie, mimo much i komarów. Zorganizowałem tam sieć lokalnych stacji meteorologicznych. Czas jednak leciał, mój kontrakt zbliżał się do końca. Jeszcze przed wyjazdem wysłałem listy ze swoją ofertą na inne uniwersytety. W połowie lipca dostałem list z Uniwersytetu w Trois-Rivieres. Był to właśnie powstający uniwersytet, pierwsze wykłady miały się zacząć we wrześniu. Miałem szczęście, bo powstawało wówczas od razu kilka filii, w sumie potrzebowali więc ok. 1000 profesorów. Zaproponowali mi pracę na wydziale geografii. Napisali, że miałbym wykładać klimatologię i... pedologię. Ta pedologia mnie przestraszyła, bo nawet nie wiedziałem, co to znaczy. Ale doszedłem do wniosku, że jeżeli będę mieć wątpliwości to zrezygnują z mojej kandydatury, więc odpisałem, że chętnie podejmę się tej pracy. W końcu i pedologii można się nauczyć.

Teraz wiem, że to jest nauka o glebie. W liście podałem, że mogę przyjechać na interview, ale tylko w określony dzień tygodnia, w środę bodajże, gdyż z dalekiej północy samolot kursował raz na tydzień. Dostałem odpowiedź, że rezygnują z interview i angażują mnie do pracy. Ponieważ mój kontrakt na Laval jeszcze obejmował wrzesień, więc przez miesiąc pracowałem na dwóch

uniwersytetach. I tak się zaczęła moja kariera uniwersytecka. Na wydziale geografii na tym uniwersytecie pracowałem aż do emerytury, czyli do lata 1993 roku. Będąc już na emeryturze jeszcze przez dziewięć lat, prowadziłem wykłady zlecone z klimatologii. W ciągu pracy na uniwersytecie, miałem jeden roczny urlop bezpłatny, kiedy pracowałem dla Światowej Organizacji Meteorologicznej na Madagaskarze. A potem miałem jeszcze dwa razy rok sabatowy, pierwszy rok spędziłem we Francji i wykładałem na uniwersytecie w Aix-en-Provance, a drugi rok – w Polinezji, w Nowej Kaledonii, gdzie prowadziłem badania meteorologiczne.

JSG: Jaką uczelnię skończył pan w Polsce, skoro przygotowała pana do takiej kariery uniwersyteckiej?

JL: Zaczynałem we Wrocławiu. Pierwsze dwa lata zaliczyłem na uczelni, która się wtedy nazywała Uniwersytet i Politechnika Wrocławska (zanim jeszcze nadali jej straszną nazwę im. Bieruta). Ale jestem warszawiakiem. Z Warszawy wyjechałem tylko dlatego, że się nie mogłem dostać na studia, bo byłem „wrogiem ludu”. A byłem wielkim wrogiem ludu, gdyż mój ojciec był przed wojną pułkownikiem, i co gorsze, został za granicą. Tak więc byłem na czarnej liście i nie dostałem się, pomimo że egzaminy na Politechnikę Warszawską zdałem bardzo dobrze. Jak to przypadek czasami zmienia losy człowieka. Gdybym się dostał, byłbym inżynierem elektronikiem, bo elektronika była

moim głównym zamiłowaniem, a ponieważ nie mogłem się dostać, spróbowałem na fizykę we Wrocławiu i tam się dostałem.

Po studiach pracowałem jakiś czas w Państwowym Instytucie Hydrologiczno-Meteorologicznym w Warszawie. Następnie związałem się z Instytutem Matematyki na Politechnice Warszawskiej, najpierw jako asystent, potem wykładowca.

JSG: Czy mógłby pan opowiedzieć o swoim ojcu, pułkowniku, z powodu którego był pan „wrogiem ludu”?

JL: Przed wojną mój ojciec był dowódcą pułku, stacjonującego w Nowej Wilejce, która należała wówczas do Polski. Stacjonowały tam trzy pułki – 85 pułk strzelców wileńskich, 13 pułk kawalerii i 19 pułk artylerii. Był to jeden z większych ośrodków wojskowych w przedwojennej Polsce. Miasteczko było małe, ale koszary, oddalone o jakieś 3 km, stanowiły duży kompleks. Ja się urodziłem się w Warszawie, ale mój młodszy brat urodził się w Nowej Wilejce i to akurat w dzień święta pułkowego. Odbyła się wtedy wielka była uroczystość, syn dowódcy, dostał pamiątkowy dyplom itd.

Sztandar V Dywizji Kresowej.

Potem mój ojciec był szefem sztabu Armii Poznań w 1939 roku i z tą Armią przeszedł kampanię wrześniową. Po walce nad Bzurą część armii przebiła się do Warszawy. W ostatnim tygodniu obrony Warszawy ojciec był w stolicy, a po kapitulacji dostał się do niewoli, do obozu dla oficerów w Murnau w Bawarii. Kiedy 30 kwietnia 1945 roku Amerykanie wyzwolili ten olbrzymi obóz (7 tysięcy oficerów, głównie Polacy z kampanii wrześniowej), zorganizowali transport do Włoch i większość z nich została wcielona do II Korpusu gen. Andersa. Mój ojciec został mianowany zastępcą V Dywizji Kresowej i aż do ewakuacji do Wlk. Brytanii przebywał we Włoszech. Po przyjeździe do Anglii został kierownikiem wydziału w biurze historycznym.

Początkowo biuro mieściło się przy polskim dowództwie, a gdy dowództwo zostało rozwiązane, stało się jednostką samodzielną, a pracujący tam ludzie opłacani byli ze skarbu narodowego, czyli przez rząd londyński. Ojciec prowadził referat, który opracowywał historię udziału polskich sił zbrojnych w II wojnie światowej, a w szczególności opracowywał kampanię wrześniową. Praca „Polskie siły zbrojne w II wojnie światowej", była wydana pod redakcją mojego ojca.

Ja ojca zobaczyłem dopiero w 1957 roku, rok przed jego śmiercią. Udało mi się wyjechać na zachód po październiku 1956 roku. Dostałem wówczas po raz pierwszy paszport i na dwa miesiące pojechałem do ojca do Anglii. Mogłem wtedy zostać, ojciec mi powiedział – ja cię nie namawiam do zostania, bo tam w Polsce ludzie są potrzebni, ale jeśli byś się kiedyś zdecydował, to ja ci tutaj pomogę.

JSG: I po tym pobycie u ojca w Anglii, pan się jednak zdecydował wrócić do Polski?

JL: Wtedy zdecydowałem się na powrót. Po październiku 1956 panowała taka euforia, wydawało się, że jednak da się coś w tej Polsce zrobić. Ojciec chciał wrócić do Polski, ale zdawał sobie sprawę z tego, czym to grozi. Było mu jednak ciężko. Ja i mój brat byliśmy w Polsce, nasza matka zmarła podczas Powstania Warszawskiego. Ale ojciec cały czas miał wyrzuty sumienia, że

nie wrócił do Polski. Gdy spotkaliśmy się na dworcu Victoria w Londynie, pierwsze o co zapytał to – czy uważasz, że dobrze zrobiłem? Ja na to – pewnie, przecież byś zrobił największe głupstwo jakie można zrobić, wiesz dobrze, co się stało z innymi. Płk. Białkowski mimo, że wyszedł żywy z więzienia, był w taki stanie, że na wolności żył tylko dwa miesiące, a płk. Minakowski, nasz sąsiad, który służył w lotnictwie i był ewakuowany na zachód, po powrocie został rozstrzelany. I wielu innych kolegów mojego ojca spotkało to samo.

JSG: Czy pana stryj, do którego pan przyjechał do Kalifornii, też był oficerem?

JL: Stryj był oficerem rezerwy artylerii konnej. Przed wojną pracował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. W sierpniu 1939 roku wyjechaliśmy ze stryjem pod Stanisławów, odwiedzić babcię, która miała tam majątek. Mimo, że trwały ostatnie przygotowania do wojny, ojciec powiedział stryjowi, że to może być ostatnia okazja, żeby zobaczyć matkę. Obiecał, że w razie gdyby już coś wiedział, przyśle telegram. Było wtedy pięknie, ciepłe, wspaniałe lato. Wybieraliśmy się na wędrówkę w góry. Bardzo się cieszyłem, była to dla mnie, 10-letniego wówczas chłopca, wielka atrakcja. Nigdy wcześniej nie brałem udziału w takiej turystycznej eskapadzie. Wycieczka planowana była na niedzielę.

I akurat w tą niedzielę przyszedł telegram od mojego ojca – przyjeżdżaj natychmiast. Telegram był wysłany 26 rano, gdyż 25 Niemcy zdecydowali, że uderzą na Polskę, właśnie 26 o 5 rano. Wszystkie rozkazy były już wydane. I polski wywiad się o tym dowiedział. Jednak Hitler zdecydował się odwołać atak, gdyż o 5 po południu otrzymał trzy, bardzo niekorzystne dla niego wiadomości. Po pierwsze wywiad niemiecki doniósł, że trzy czwarte armii polskiej jest już zmobilizowanej. A Niemcy mieli zmobilizowanych dopiero połowę sil. Hitler myślał, że to wystarczy, bo polska mobilizacja będzie w lesie. Jednak mobilizacja polskiej armii, wbrew temu, co się powszechnie uważa, przebiegała bardzo sprawnie. Armia polska miała plan operacyjny, który pozwalał na zmobilizowanie trzech czwartych wszystkich sił polskich, przy pomocy tzw. mobilizacji kartkowej. Rezerwiści dostawali powołania imiennie przez pocztę. To było o tyle ważne, bo ogłaszanie mobilizacji powszechnej mogło być potraktowane tak jak wypowiedzenie wojny.

Natomiast mobilizacja kartkowa mogła być robiona w każdej chwili i bez żadnego ryzyka politycznego. To była olbrzymia praca, ale dzięki niej mobilizacja rozpoczęła się już w marcu i była przeprowadzana partiami, a od 1 sierpnia przebiegała już na dużą skalę. Oprócz tej wiadomości, Hitler otrzymał jeszcze inne złe wiadomości. Mussolini przysłał telegram, że Włochy na początku pozostaną neutralne, bo są nieprzygotowane do wojny. No i trzecia wiadomość, najgorsza, że 25 sierpnia został

podpisany sojusz polsko-angielski. Była to pierwsza bezwarunkowa gwarancja, której królestwo brytyjskie kiedykolwiek udzieliło.

Tak więc Hitler się zastanawiał, czy w ogóle uderzać. Przez 6 dni obserwował zachodnich aliantów, ale już po 4 dniach zdecydował na uderzenie i wydał nowy rozkaz. Zobaczył, że alianci, zamiast ostro przygotowywać się do wojny, próbują problem rozwiązać politycznie, nawet kosztem ustępstw strony polskiej.

JSG: Czyli po telegramie pana stryj przyjechał do Polski.

JL: Natychmiast wróciliśmy do Warszawy. Stryj zgłosił się do wojska i został z powrotem skierowany do Stanisławowa, bo tam stacjonował jego pułk artylerii konnej. Potem stryj był w Anglii, w tzw. I Korpusie, który się formował w Szkocji. Z tego korpusu została zabrana I Dywizja Pancerna, która poszła walczyć na kontynent, natomiast dwie dywizje piechoty, które były formowane, ale ich tworzenie nie zostało ukończone, nie poszły na front. Te siły zapasowe były najpierw w Szkocji, potem w Anglii. Dołączył do nich II Korpus, który wrócił z Włoch. Przyszedł z nim mój ojciec. Stryj mieszkał w Anglii jeszcze kilka lat. Jak ja przyjechałem w 1957 roku, to już stryja nie było. Wyjechał najpierw do Nowego Jorku, a potem z żoną i córką przenieśli się do Kalifornii. Tak więc po latach, ja tam dojechałem i spędziłem z nimi piękne chwile. Na swoją drugą

ojczyznę wybrałem jednak Kanadę i mieszkam tu do dziś.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym” dodatku kulturalnym „Gazety” pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.